

mixer

magazyn studentów

imię i nazwisko: _____
nr albumu: _____
temli im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

impresowi hedonisci

Spis treści

TEMAT Z OKŁADKI

- Ostatnie juwenalia ... 4
- Taniec jest dla elit? ... 5
- Złe dziewczyny jadą na Ibiza? ... 6
- Najlepszy dancing w mieście ... 8
- Sezon na festiwale [wybór subiektywny] ... 10
- Tak to robią studenci – JUWENALIA ... 12
- Tylko nie imprezuj!!! ... 14

SPORT

- Ekstraklasa jak Premier-Liga ... 15
- Sport w rytmie samby ... 16

IKONY POPCOULTURY

- LEVI STRAUSS ... 18

KOFEINA

- Koncert czy Bieszczady? ... 20
- ZAMIAST RECENZJI
- Kompakt rzecz podrzędna ... 21
- NOWOŚCI ... 22



ISSN 1732-0694 (miej.) maj 2013 | egzemplarz bezpłatny

WYDAWCA: KRAKOWSKA AKADEMIA IM. ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO



miXer

MAGAZYN STUDENTÓW
KRAKOWSKIEJ AKADEMII
IM. ANDRZEJA FRYCZA
MODRZEWSKIEGO

24-26 kwietnia – II Ogólnopolska Konferencja Mediów Studenckich
Młodzi bez ambicji?

W ostatnim numerze pisałyśmy o konferencji, która odbyła się w Krakowie. To wydarzenie miało na celu zbadanie roli mediów studenckich w Polsce. W tym numerze chcemy przedstawić wyniki badań i opowiedzieć o tym, jak media studenckie funkcjonują w naszym kraju. Czy są one naprawdę ważne? Czy mają jakąś rolę do odegrania? To są pytania, na które chcemy odpowiedzieć w tym numerze. Zapraszamy do lektury i dziękujemy za zainteresowanie.



Media studenckie w Polsce to zjawisko, które ma długą historię. W przeszłości były one ważnym źródłem informacji dla studentów. Dziś, w dobie internetu, ich rola jest nieco inna. Czy media studenckie nadal mają znaczenie? Czy są one nadal potrzebne? To są pytania, na które chcemy odpowiedzieć w tym numerze. Zapraszamy do lektury i dziękujemy za zainteresowanie.

Murales über alles

Najbardziej ciekawym zjawiskiem w świecie sztuki ostatnich lat jest powstanie murales. To forma sztuki, która polega na tworzeniu dużych obrazów na ścianach. Muralesy są bardzo popularne w wielu krajach, w tym w Polsce. W tym numerze chcemy przedstawić kilka przykładów muralesów i opowiedzieć o ich historii. Zapraszamy do lektury i dziękujemy za zainteresowanie.



MAGIEL KASZUBSKI

DZIENNIK POLSKI

„Mixer” na łamach
Dziennika Polskiego!
Kolejnych numerów
szukajcie w każdy
ostatni czwartek
miesiąca!

REDAKCJA:**Redaktor naczelny:**

Maciej Saskowski
macieksaskowski@op.pl

Zespół:

Katarzyna Biatek
Beata Buc
Sebastian Dobrowolski
Dawid Dybiec
Anna Groniska
Anna Kamińska
Grzegorz Łyko
Paulina Pabian
Iga Serwińska
Piotr Skwarczyński
Kinga Szydło

Okładka**FOTOGRAF I POSTPRODUKCJA:**

Patryk Tomaszewski
(mannequin-photography.pl)

MODELKA, WIZAŻ I STYLIZACJA:

Agata Nika (blogdrobe.blogspot.com)

OPRACOWANIE GRAFICZNE:

Mariusz Englert

Dtp i layout

Mateusz Janusz
(hussars.pl)

Adres

mixer_ka@interia.eu

Druk

Drukarnia KTE

Nakład

1000 egzemplarzy

Opieka redaktorska

Dariusz Baran
(Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

Dołącz do REDAKCJI!

Pisz na adres: mixer_ka@interia.eu

facebook

Mixer magazyn studentów
Krakowskiej Akademii





Ostatnie juwenalia

„Nie mam czasu na naukę, studiuje” – to motto większości młodych ludzi. Akademicki czas to przede wszystkim ciąg imprez, wyskoków, grillów na Miasteczku i wiecznych Juwenaliów, przerywanych od czasu do czasu bolesnym zjawiskiem zwanym sesją. Tylko, że to się kiedyś kończy.

Znamy rozkład imprez we wszystkich klubach. Bramkarz mówi do nas na „ty”, a barman z mrugnięciem oka podaje „to, co zwykle”. Mamy ulubiony sklep „z napojami”, a w kuchni skrzynkę butelek na wymianę. Recytujemy z pamięci zadania z „alkochińczyka”, a jedynym posiłkiem jest kebab z budki o 3 rano. Ktoś obija sobie twarz w przypadkowych bójkach, ktoś inny drze ubrania na przeskakiwanych płotach. Czasami zdarza się kilka mandatów za złe wybranie pleneru. Wszystko jest idealne, do czasu „syndromu następnego dnia”.

Najpierw przychodzi zmęczenie organizmu. Nagle okazuje się, że nie da się nie spać dwa dni, a następnie bez śladu wczorajszych melanz siedzieć na wykładach. Kiedy już wiemy, że nie da się wstać z łóżka na egzamin, powstają deklaracje: że po raz ostatni i nigdy więcej. Ale potem mija tydzień, znów przychodzi weekend, a z nim powtórki z rozrywki. Pamięć wybiórcza zostawia nas jedynie z dobrymi wspomnieniami. Znów, więc przepijamy płyny płynami. Wskakujemy do fontanny na Rynku, potykamy się o własne stopy i wpadamy na drzewa. Z czasem jednak, prawie niezauważalnie, zwalniamy tempo.

Ostatnie „szkło” odstawiamy o drugiej, a nie o szóstej. Zamiast demolować mieszkania na domówkach w obawie przed eksmisją, spotykamy się w pubie na Rynku, który zamykają zdecydowanie za wcześnie. Dziewczyny zaczynają być zmęczone, chłopaki czują się w obowiązku je odprowadzić. Imprezy kończą się po kilku piwach. A to, co miało być legendarne, pozostaje jedynie miłym urozmaicheniem.

Potem przychodzi etap, kiedy pojawiają się usprawiedliwiające słowa z piosenki Gossip *Get a job*: Chciałabym zostać i imprezować, ale muszę iść do pracy. Tajemnicza, odległa, a jednocześnie bardzo pożądana praca staje się po-

wodem, dla której coraz więcej znajomych żegna się z nami już o 22. Do tego nie piją nic, bo ludzi zatrudnionych stać na samochody. Staramy się z tym żyć, dalej tak jak się nauczyliśmy, nadwyrężając wątrobę. Jednak jest coraz gorzej. Robimy poważne rzeczy, więc i podczas wspólnych wyjść rozmawiamy na ambitne tematy. O szefach, narzeczonych, czynszach za mieszkanie i o tym, że rodzice przejeżdżają nas odwiedzić w weekend, chociaż nie wiadomo po co. Przestało nam się wydawać, że dołączymy do „Klubu 27”, zakończymy nasze życie w efektowny rockowy sposób, gdzieś w hotelu i z milionem na koncie. Nie wiadomo, kiedy okazuje się, że „it's too late to die young”.

Potem, tak jak bohaterowie *How I meet your mother*, chcący udowodnić, że po trzydziestce potrafią wciąż zabawić się jak za studenckich czasów, zdajemy sobie sprawę, że nie wiemy już nic. Miejsca, w których spędzaliśmy w gorące sobotnie noce zmieniały się w banki i pralnie chemiczne. Kiedy już dowiemy się gdzie i co. Okazuje się, że kluby wypełnione są ludźmi, którzy nie znają świata sprzed Internetu. Otańczają nas szesnastoletnie dziewczynki i pryszczaci chłopcy. Za głośna muzyka nas męczy, dym wysusza nam spojówki, a przecież jutro rano trzeba będzie znów iść do pracy. Następnym razem odpuścimy wyjścia, wybierzemy kapcie, wino i film na DVD. Kiedy uświadomimy sobie, że dorosliśmy, będzie już za późno żeby się cofnąć.

Co nam zostaje? Przygotowywać się na ten nieuchronny imprezowy koniec? Czekać w spokoju na mentalną starość? Może już się przygotowywać tak, by brak energii nie był dla nas zaskoczeniem? Zacząć już teraz wybierać wytrawne trunki, by za kilka lat w klubie odpowiedzialnych i dorosłych móc uchodzić za konesera. Wyrzucić buty do tańca i lykać witaminy. Lepiej idźmy na kolejne Juwenalia. Nawet, jeśli wiemy, że w tym roku znów będzie to samo. Póki jeszcze się nam chce. Póki jeszcze jesteśmy się w stanie zmotywować. A potem żałujemy swoich decyzji w niedzielę rano. Na zdrowie! Popelniamy te same błędy, co zawsze. Przyjdzie jeszcze czas na dorosłość.

Beata Buc



Taniec jest dla elit?

Klubowicze i animatorzy rodzinnej sceny klubowej są zgodni – clubbing w Polsce istnieje. Dodają jednak, że daleko nam do Zachodu. Kochają zabawę w klubach, ale twierdzą, że ze swoją sceną taneczną możemy dorównać jedynie wzorcom czeskim lub węgierskim.

Dj-e narzekają na brak szacunku dla ich profesji, promotorzy na problemy ze znalezieniem pieniędzy na organizację imprez, wszyscy – na małą ilość dobrych klubów i ignorowanie klubowych gatunków muzycznych przez media.

Na kulturę, w której muzyka przecina się ze stylem życia, składa się kilka elementów. Po pierwsze, sieć klubów z konkretną muzyką dla konkretnej publiczności, które poza miejscem do zabawy są również miejscem kontaktów. Po drugie, rynek wydawniczo-informacyjny – ziny, niezależne wytwórnie produkujące winyle. Jeśli te elementy istnieją i nawzajem się inspirować, wtedy można mówić o istnieniu sceny klubowej. Patrząc na sytuację w Polsce, dojdziemy do wniosku, że choć jest potencjał ludzki, sytuacja jest opłakana.

– Obserwuję znajomych i widzę, że ci, którzy niegdyś chodzili na typowo studenckie imprezy coraz bardziej skłaniają się ku zabawie przy big beatie czy drum'n'bassie. Jest też spora grupa osób, która co tydzień bywa na trzech, czterech balangach; w angielskim stylu zmieniają kluby kilkakrotnie w ciągu nocy. Sam, jeśli tylko mam czas, nie jestem chory i mam z kim pójść, to wychodzę – mówi Darek, 24-letni student bankowości.

Innego zdania jest Bo – holenderski dj od dziesięciu lat mieszkający w Polsce: – Parę lat temu mówiliśmy: „Hej, za rok to dopiero będzie boom!” I co? I nie – mówi rozczulony. – Polska scena klubowa jest bardzo mała. Jeśli w weekend w Krakowie wychodzisz gdzieś ze znajomymi i spotykasz wciąż tych samych ludzi, możesz odnieść mylne wrażenie, że żyjesz w środku tej sceny.

Polskim fanom house'u czy dubstepu nie oplaca się przywiązywać do konkretnych miejsc. Żaden taneczny gatunek nie ma u nas na tyle silnej rynkowej pozycji, by właściciele klubów ograniczali się do jednolitej muzycznej oferty. Jeśli już się tak dzieje, kluby schodzą do podziemia, by później bądź to zamknąć swe podwoje, bądź radykalnie zmienić profil.

Kilka lat temu muzyką, którą niegdyś określano mianem techno, a dziś nazywa się muzyką klubową, interesowały się kluby i sponsorzy. Później sponsorzy odpłynęli, a muzyka przez powiązanie jej z narkotykami zaczęła mieć złą prasę. Kluby techno przekształciły się w dyskoteki.

Na klubowej mapie Polski liczy się kilka lokali, które szczytą się konkretną ofertą artystyczną, wszystkie działają bez zewnętrznej promocji. Trudno dostać się do nich bez kart członkowskich, przez co uchodzą za elitarne.

– Zawsze chodziłem do jakichś klubów, już za czasów licealnych – opowiada o swoich clubbingowych początkach komputerowiec Mariusz. – W okresie studiów były to inne kluby niż teraz. Z czasem zaczęła mi się podobać muzyka taneczna i poszedłem z ciekawości na pierwszą tego typu imprezę. Do klubów chodziłem czasami nawet sam. Sprawiało mi ulgę i satysfakcję, że nie jestem obciążony znajomymi, którzy nie lubili takiej muzyki. Łatwiej było też poznać nowych ludzi.

Dziś jest klubowym weteranem, podobnie jak wielu jego rówieśników, którzy z kulturą taneczną zetknęli się pierwszy raz pod koniec lat 90.

– Dj-e w Polsce nie są gwiazdami – mówi Bo. – Jedyne szanse dla nich na szersze zaistnienie jest współpraca z gwiazdami rocka czy popu. Być może wtedy ludzie zrozumieją, że jako dj jesteś w stanie zrobić coś równie dużego jak gwiazdy stacji radiowych. Porównując naszą pracę do nich, my, dj-e, wciąż nie nie znaczymy. Zdarza się, że do dj-a podchodzą ludzie i chcą zamawiać piosenki. Zawsze odmawiam – wykluczone – opowiada o swojej profesji Bo. – Ludzie nie zdają sobie sprawy, że dj nie jest prezenterem dyskotekowym, który gra kawałki na życzenie za dziesięć złotych – konkluduje dj.

Popowe gwiazdy powoli zaczynają interesować się muzyką taneczną. Promowanie tej muzyki przez postacie z pierwszych stron gazet może przybliżyć kulturę klubową odbiorcy nowemu i zupełnie z nimi nie obeznanemu. Rozwijanie clubbingu leży w interesie strategii marketingowych. Wystarczy spojrzeć na muzykę, która towarzyszy dziś reklamom. W żadnym komercyjnym radiu nie usłyszysz się muzyki techno czy drum'n'bass, ale pojawia się ona w podkładach radiowych reklamówek. Kultura popowa wykluczyła tę muzykę ze swojej sfery jako zbyt ekstatyczną. Jednocześnie wie, że jest to muzyka, której słuchają młodzi ludzie, więc kokietuje nią przy poszukiwaniach grup konsumenckich dla reklamodawców. Ale jak uczy historia ostatnich kilkunastu lat, niezależnie od wymiaru komercyjnego, istnieje w tej kulturze środowisko ludzi, którzy emancypują się od odgórznej manipulacji.

Maciej Saskowski

Złe dziewczyny jadą na Ibizę

Jest takie miejsce na Ziemi, gdzie zawsze świeci słońce, nagość nikogo nie gorszy, narkotyki są równie pospolite jak poranna kawa, a wszyscy dj-e z całego świata zgodziliby się tu zagrać nawet za darmo. To Ibiza, mała wyspka na Morzu Śródziemnym, siedlisko zła i rozpusty, mekka hedonistów, którym na Sądzie Ostatecznym dostanie się w pierwszej kolejności.

Nie trzeba skakać na bungee czy brać udziału w spływie kajakowym rwącą rzeką, by sprawdzić swoją kondycję. Wystarczy wybrać się na Ibizę. 3-4 godziny snu na dobę to tutaj norma. Nie po to przecież jedzie się do najbardziej zepsutego i szalonego miejsca na świecie, by tracić czas na sen. Ibiza znaczy zabawa, i jeśli już przemierzyło się w tym celu tysiące kilometrów, musi to być zabawa, którą się zapamięta do końca życia.

Hipisi, geje i klubowicze

Do początku drugiej połowy lat 80. Ibiza żyła spokojnym życiem. O tym, że słońce świeci tu mocniej, a muzyka brzmi lepiej niż gdziekolwiek indziej, wiedzieli tylko nieliczni. A wśród nich bogaci geje i artystyczna śmietanka z całego świata. Czasami wyspę odwiedziła Grace Jones, kiedy indziej Julio Iglesias i Freddie Mercury. Grupa Wham! Wpadła tu nawet nakręcić do *Club Tropicana*.

Z czasem wyspa zaczęła kusić zwykłych śmiertelników, stając się dla tysięcy młodych Brytyjczyków ulubionym celem wakacyjnych wojaży. W 1987 roku znaleźli się wśród nich stawiający dopiero pierwsze kroki na klubowej scenie londyńscy dj-e: Danny Rampling, Paul Oakenfold, Nicky Holloway i Lisa Loud. Imprezy na plażach, lokalni dj-e grający dla kosmopolitycznej publiczności mieszaną popu, rocka, reggae i house'u, pierwsze doświadczenia z coraz bardziej popularnym wówczas narkotykiem Ecstasy, wirujący seks – przeżycia z Ibizy nie mogły nie wpłynąć na późniejszy klimat klubowego Londynu. A i sama wyspa od czasu ich wizyty nie była już taka sama. Pod wpływem przekazywanych pocztą pantoflową historii, lista chętnych

doświadczenia niesamowitości Ibizy na własnej skórze rosła z roku na rok.

Dziś nikt już nie wybiera się na Ibizę z nadzieją, że odpocznie w cieniu palm, wsłuchując się w szum fal Morza Śródziemnego. Wiedzą o tym zarówno japońscy miłośnicy fotografii amatorskiej, jak i podstarzali niemieccy turyści, którzy w trosce o udany urlop wybierają sąsiednią Majorkę. Na Ibizie żyje się szybko, intensywnie, bez chwili oddechu i dlatego średnia wieku milionów ludzi odwiedzających wyspę każdego lata rzadko kiedy przekracza 30 lat. Starsi to albo dawni hipisi, którzy skolonizowali Baleary na przełomie lat 60. i 70., albo rezydujący tu od lat legendarni dj-e, tacy jak Alfredo czy José Padilla.

Każdy dzień jest jak sobota

Są na Ibizie miejsca, w których pierwsi dj-e zaczynają grać dopiero (a może już?) o 8 rano, ostatni kończą 22 godziny później. Szybkie śniadanie, krótka drzemka na plaży, kilka drinków w jednym z setek barów i znów na imprezę. I tak codziennie, nie tylko w weekend. Na Ibizie zresztą nie ma weekendów. Każdy dzień jest tu jak sobota.



Klubów na całej wyspie jest tak dużo, że w walce o publikę ich właściciele wychodzą wręcz z siebie. Dj-skim gwiazdom pokroju Rogera Sancheza, Paula Van Dyka, Judge Julesa czy Basement Jaxxx płacą krocie, aby tylko występowali na ich imprezach. Inne metody zjednania sobie młodych hedonistów? Darmowy drink wliczony w cenę biletu wstępu do klubu. Przy grupie liczącej więcej niż 3 osoby – zwrot pieniędzy za taksówkę, którą przyjechało się do lokalu. No i możliwie jak najwięcej seksu wewnątrz.

Striptease bez zapowiedzi

Bez seksu i nagości Ibiza nie istnieje. Golizna i perwersja nikogo tu nie gorszą. Są wręcz wskazane. Nie po to przecież temperatura sięga tu plus 40 stopni Celsjusza, by ludzie paradowali w ubraniach. Rozbierają się więc wszyscy. Machos napinają nagie torsy, spalone na heban dziewczyny uwodzicielsko wypinają odkryte dekolty, kto ma, eksponuje tatuaż. A nad ranem plaże pełne są zużytych prezerwatyw.

To, co pod osłoną nocy skrywane jest na ulicach i plażach, bez problemu można znaleźć w klubach. Nikogo nie dziwią blond dziewczęta, które bez skrępowania na oczach kilkuset klubowiczów ściągają z siebie ubrania. Odkrywają wszystko, robią kilka figur akrobatycznych i wychodzą z klubów żegnane owacjami. Pełny striptease w house'owym klubie! To jednak nic w porównaniu z ekscesami ekipy Manumission w wielkim na 10 tys. osób klubie Privilege.

W 1994 roku pochodzący z Manchesteru bracia Andy i Mike wystartowali z najbardziej skandalizującym show w dziejach Ibizy. Zwykłym imprezom nadali teatralny sznyt w duchu barokowej wystawności. Procesje karłów przebranych raz za Elvisa, raz za ekipę *Słonecznego patrolu*, występy drag queens, stripteasy na akrobatycznych trapezach, a na koniec zbiorowa orgia w klubowym basenie. Przyzwyczajonym do perwersji regularnym bywalcom Manumission



szczęki opadły rok później, gdy dziewczyna Mike, Claire i dziesiątki ich tancerzy regularnie kopulują dla widzów. Na oczach poczęli dziecko. Na ich oczach również miał odbyć się poród.

To, co wstrząsnęło Ibizą

Tak jak niegdyś indyjskie Goa, a dziś również Kuba, Ibiza stała się miejscem modnym, snobistycznym, takim, które wypada odwiedzić. I znów na Baleary ciągną tabuny modelek, gwiazd sportu, sceny i ekranu. Na jednej z plaż – opalająca się Kate Moss, w którymś z klubów – Diego Maradona. Starzy bywalcy wyspy mówią, że dzisiejsza Ibiza jest przereklamowana, że to już nie to samo. Być może jest w tym ciut prawdy, a już na pewno faktem jest, że Ibiza to finansowy worek bez dna. Wic o tym MTV, organizująca z powodzeniem rokrocznie na wyspie taneczny festiwal z udziałem największych klubowych gwiazd. I okazało się, że imprezy na Ibizie można organizować nie tylko w klubach i na plażach, ale również w scenerii dawnych kamieniołomów. Wiedzą o tym wytwórnie płytowe, które nawet kilka miesięcy po zakończeniu sezonu największe lokalne hity sprzedają jako „to, co wstrząsnęło Ibizą”.

Specjalizujące się w clubbingu media robią, co mogą, by obrzydzić Baleary i wylansować nowe miejsce hedonistycznych pielgrzymek. Marne jednak szanse, by kiedykolwiek podobny sukces odniosły cypryjska Ayia Napa, grecka Mykonos czy Miami. Kluby Ibizy takie jak Pacha, El div ino, Privilege i Space, plaż Las Salinas i bora Bora, czy wreszcie same kompleksy miejskie Ibiza Town i San Antonio potrafią się obronić i bez reklamy. Ich niepodważalnymi atutami są słońce i muzyka.

A gdy ma się już dość szalonych imprez w pianie, opętanego seksem tłumem, tabunów wiecznie pijanych Brytyjczyków o temperamentach kibiców piłkarskich, najlepiej uciec do plażowych barów Café Del Mar i Café Mambo. Tam przy wtórze chilloutowych dźwięków wschody i zachody słońca są ponoć najbardziej obłędne.

Maciej Saskowski



Najlepszy dancing w mieście

Przez wiele lat w każdej lepszej restauracji, to znaczy takiej, która miała swój neon, o godzinie 21 zaczynała się najbardziej popularna impreza rozrywkowo-kulturalna peerelowskiej Polski, nazwana z angielska DANCING. Choć nazwa była jednoznaczna, nie chodziło jedynie o tańce, ale o biesiadną zabawę w lokalu, który oferował oprócz galaretki, alkoholu i muzyki wiele innych atrakcji. Wszystko miało bardzo ludyczny charakter i kiczowaty wymiar przejawiający się zarówno w wystroju lokalu, w jadłospisie, jak i w programie artystycznym, o który dbał każdy szanujący się kierownik lokalu. Oto kilka najważniejszych elementów takiego zwyczajnego dancingu.

Szatniarz

Niekiedy pełnił również rolę wykidajły. To często najważniejsza postać dancingu. Przede wszystkim dlatego, że od niego zależało, czy w ogóle można było się dostać do lokalu. Z reguły byli to wąsaci, postawni mężczyźni, w większości emerytowani milicjanci, którzy – poza tym, że pilnowali płaszczy i futer – obserwowali również, czy nikt się zaudało nie rzuca w oczy albo nie robi czegoś niezgodnego z socjalistyczną moralnością. Oprócz tych szczytnych zadań, mieli również bardziej przyziemne obowiązki – sprzedawali papierosy. Te normalne, czyli produkcji krajowej, które były wystawione na publiczny widok i te z „Pewexu”, ukryte pod ladą. Ceny tych ostatnich były czarnorynkowe i uzależnione od tego, po ile szły w danym momencie dolary, które – nawiasem mówiąc – czasem sprzedawał sam szatniarz. W niektórych restauracjach z dancingiem można było również w szatni wypożyczyć krawat i grzebień.

Babcia klozetowa

Występowała pod różnymi ksywkami w lokalach gastronomicznych z dancingiem. Najczęściej używano wdzięcznej nazwy „pisuardessa”. Pisuardessy były to niemłode damulki o raczej „muszlachetnej” urodzie. Babcia klozetowa znana była również jako „ciotka cicho-puk”, a wśród bardziej romantycznych bywalców jako „siniorita Mercedes”, w bardziej eleganckich lokalach zaś zwracano się do niej „madame Szalet”. Zdarzały się też babce klozetowe rozbudzone intelektualnie. Były to pulchne babuleńki w kwiecistych fartuszkach, co kiwały się na stołeczkach, chłonąc przez denkowe okulariki sensacyjne wiadomości z „Ekspresia”. Dla nich to specjalnie Jan Kazimierz Siwek wymyślił



kiedys nazwę „kiblołecarka” i za to właśnie Janek Himiśbach nagrodził go „pięćdziesiątką” winiaku. Absolutnym wypradem wśród omawianego gatunku była „Śpiąca Królewna”. Jej zastygła, nieruchoma, poutana zmarszczkami twarz przypominała jako żywo oblicze indyjskiego wizerunku zmierzniętego wrda ognistą. Drzewiała w pełnej godności postawie, reagując na błąd błoznu jedynie łaskawym mrugnięciem. Mówiono na nią „Wielka Woda Złamana Szcząka”. Przy stoliku, gdy kogoś w towarzystwie napliła potrzeba odwiedzenia toalety, nie rzadko było tego zakomunikować wprost. Do dobrego tonu należało używanie zwrotów eufemistycznych w rodzaju: „Pardon, wróć za chwilę, idę odebrać telefon ze Szczawnicy” lub „Przepraszam na sekundkę, muszę zapamiętać słówko z magister Wucetowicz”. Niektórzy, przebijając nogami, oznajmiali towarzystwu o swej nagłej potrzebie bardziej enigmatycznie: „Sorry, wyskoczę tylko zobaczyć, czy rower stoi”.



Klezmer

Czyli muzyk knajpiany. Nierzadko znakomity i wszechstronny, grający repertuar od operetki przez Szuberta i Monteverdiego po jazz. Pracę miał praktycznie przez cały dzień, bo kiedyś w niektórych lokalach, szczególnie we wczasowych kurortach, przed danciem grało się tak zwane fajfy – od piątej do ósmej – podczas których królowała bardziej ambitna niż na dancingu muzyka.

Wśród klezmerów zdarzały się prawdziwe oryginały. Ciekawostką byli ociemniaли, lysi pianiści około sześćdziesiątki. Co bardziej wnikliwy obserwator mógł zauważyć, że ślepi grajkowie mają na klapie fortepianu ściągawkę. Po zakończonym recitalu cudem odzyskiwali wzrok i odjeżdżali zdezelowanymi Syrenkami do następnej restauracji.

Im gorszy był klezmer, tym głośniej grał. Miotał się przy instrumencie, przyjmując pozy wirtuoza i nadużywając czarnych klawiszy. To o takich Jonasz Kofta zwykł mawiać „Szopen prac”.

Rachuneczek

Zazwyczaj był wręczany pod koniec libacji. Na druczku wyrwanym z bloczka widniała suma wszystkiego, co goście zamówili albo co mogli według pana kelnera zamówić. Suma na końcu była wprost proporcjonalna do stanu upojenia gości, jego czytelność zaś uzależniona zarówno od charakteru pisma kelnera, jak i jego dobrej woli. Zbyt długie wpatrywanie się w rachuneczek mogło grozić wytrzeszczem oczu, jeśli cyferki na samym dole przypominały różne historyczne daty z datą bitwy pod Grunwaldem na czele.

Rachunek – obok zastrzyku adrenaliny – był sposobem na gwałtowne wytrzeźwienie. Glupio uśmiechnięty kelner zaczynał wtedy używać dziwnego języka: „campari, de volaille, melba, Chateaubriand, tarte, ratatouille”. Człowiek nie wiedział, czy kelner go nie obraża.

Wiech wspomina, że kiedyś jeden z fundatorów kolacji, któremu zabrakło do rachunku, próbował od innych gości dokończyć jakąś niewielką kwotę, ale nikt się jakoś do tego nie kwapił. Wnerwiony fundator oświadczył na cały lokal: „Co za naród, cholera! Gdyby się człowiek topił, to nikt mu szklanki wody nie poda!”.

Program artystyczny

Każdy szanujący się dancie musiał mieć program artystyczny, którego główną atrakcją obok występów cyrkowych był striptiz. Porządny striptiz składał się z dwóch części. W pierwszej – dosłownie mówiąc – odsłonie panienka (choć, przepraszam, nikt nie informował szczegółowo o jej stanie cywilnym), przy dźwiękach wybranej przez siebie muzyki, po dobrych kilku minutach czajenia się i szamotanina, co w jej rozumieniu było tańcem, zdejmowała na kilka sekund górną część ubioru, po czym znikła w garderobie. W przerwie zwykle byli cyrkowcy albo kobieta z wężem, prawdziwym. W drugiej części szła już na całość, zdejmując w kulminującym momencie wszystko, uciekając często przed zakusami zbyt krewkich gości dancingu. Charakterystyczne były pseudonimy pań, które objężdżały jednego wieczoru kilkanaście lokali: Minerwa, Isaura, Penelopa...

Oczywiście, żadna porządna gastronomiczno-taneczna zabawa nie udałaby się w pełni, gdyby nie piosenki, które przez lata królowały na parkietach, terakotach i linoleach w całej Polsce. Nie wiem, czy artyści, którzy tworzyli kanon repertuaru dancinowego, chcieli akurat trafić pod restauracyjne strzechy, fakt jednak pozostaje faktem, że dancie był przez wiele lat miarą popularności danego utworu, który w wykonaniu klezmerów często zmieniał swój prawdziwy charakter.

Maciej Saskowski

Sezon na festiwalach

[wybór subiektywny]

Festiwal jest żywym, „roztańczonym” i kolorowym muzeum kultury oraz tradycji. Na całej kuli ziemskiej odbywają się niesamowite *eventy* dla wielbicieli ekstremalnych wrażeń. Wiosną i latem słońce zachodzi późno i świeci bardzo mocno przez cały dzień. Nie wypada więc siedzieć w domu, ale wyruszyć w stronę przygody. Awangardowe, irracjonalne, a jednocześnie największe i najbardziej niepotykane imprezy świata zachęcają do przeżycia niezapomnianych chwil. Każdy z festiwali stwarza okazję do poznania nowych obyczajów, wyjątkowych ludzi, a przede wszystkim daje szansę na oderwanie się od rzeczywistości.

Maj

Cooper's Hill Cheese Rolling Festival – wydarzenie organizowane w każdy ostatni piątek maja, od niemal 200 lat. Odbywa się w pobliżu Gloucester i polega na... „ściganiu” żółtego sera. W założeniu zabawa miała polegać na turlaniu sera z pobliskiego wzgórza, jednak ze względu na dużą prędkość jaką osiągał, niemożliwy był bieg obok niego. Postanowiono więc, że wygrywa ten, kto – niezależnie od sposobu – najszybciej znajdzie się na dole i złapie krążek sera. Przy mecie ustawiają się ludzie, którzy tworzą żywą zaporę dla zawodników. Na startujących czekają ekipy pogotowia, które co roku mają pełne ręce roboty. Na szczęście do tej pory, nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś odniósł poważne obrażenia. Atmosfera miejsca jest niesamowita i pewnie niektórzy zastanawiają się po co to wszystko? Po to, żeby przeżyć nie lada przygodę, zapomnieć o problemach i zrobić coś niecodziennego.



Czerwiec

Glastonbury Festival – odbywa się od 1970 roku w południowo-zachodniej Anglii na Worthy Farm. Jest największą imprezą na wolnym powietrzu w Europie. Organizator *eventu* – Michael Eavis, lokalny farmer – zainicjował pierwszy festiwal po obejrzeniu koncertu Led Zeppelin w Bath Festival of Blues and Progressive Music. Glastonbury ma swój niepowtarzalny charakter, który odciska piętno na uczestnikach imprezy. Pacyfistycznie nastawieni ludzie, mnóstwo barw, kwiatów i dobrej muzyki – ten klimat utrzymuje się nieprzerwanie przez 3 dni trwania festiwa-



lu. Towarzyszą mu pokazy cyrkowe, kabaretowe i taneczne. Do tej pory zgromadził takie gwiazdy jak: U2, Jessie J, Arctic Monkeys, Björk, The Prodigy, Coldplay, Radiohead, The Cure, Muse, Oasis, Franz Ferdinand i innych. Chris Martin (wokalista zespołu Coldplay) w filmie nakręconym po trasie koncertowej w 2012 roku, wskazał koncert na Glastonbury jako występ, który wspomina najlepiej. W bieżącym roku bilety na Glastonbury Festival sprzedawały się w ciągu 24 godzin.

Lipiec

Tomorrowland – impreza, której fanom muzyki elektronicznej przedstawiać nie trzeba. Festiwal muzyczny, który odbywa się od 2005 roku w belgijskim miasteczku Boom sprawia, że każdego roku Belgia staje się światową stolicą muzyki tanecznej, a jej uczestnicy przenoszą do krajiny, gdzie mogą poczuć się jak na innej planecie. Atmosfera, niesamowite dekoracje i setki tysięcy ludzi z różnych krajów dają w połączeniu imprezę doskonałą, przeżywaną w iście bajkowym klimacie mieniących się w ciemności neonów, przy głośnej i energetycznej muzyce. Do tej pory na Tomorrowland występowały ikony muzyki klubowej, m.in. Fatboy Slim, Laidback Luke, Swedish House Mafia, LMFAO, Hardwell, Steve Aoki, Carl Cox i wielu innych.



Sierpień

Notting Hill Carnival – największa w Europie parada uliczna inspirowana karnawalem z Rio de Janeiro. Odbyna się w londyńskiej dzielnicy Notting Hill i choć w zamyśle jest świętem ludności kolorowej, na wydarzenie przychodzą dziesiątki tysięcy Anglików i Europejczyków, którzy niejednokrotnie przyjeżdżają do Londynu tylko po to, by wziąć udział właśnie w tym wydarzeniu. Korzenie festiwalu sięgają tradycji czarnoskórej ludności Trynidadu, dlatego tancerze i tancerki pochodzący z tej wyspy co roku rozpoczynają barwny pochód uczestników. Kolor skóry, narodowość i religia nie mają tu żadnego znaczenia. Mnóstwo różnorodnych flag narodowych, transparentów i plakatów tworzy niepowtarzalny klimat. Ludzie, chcąc wyróżnić się z tłumu, ubierają kolorowe stroje; zdarza się, że kobiety przy-



chodzą w bikini. Ostatnia edycja festiwalu zgromadziła łącznie 2 mln gapiów, jednak, gdy zabawa rozkręci się na całego, nie ma znaczenia, czy jesteś jednym z występujących, czy po prostu oglądasz. Przebieg imprezy oraz poszczególne wydarzenia w jej trakcie najlepiej obrazuje motto festiwalu – „Každy widz to uczestnik!”

Wrzesień

Burning Man Festival – prawdopodobnie najbardziej niesamowity event świata. „Płonący Projekt” odbywa się na pustyni Black Rock w Nevadzie, a jego twórcą jest Larry Harvey. Nazwa nie jest przypadkowa, odnosi się bowiem do rytualnego spalania wielkiej, drewnianej kukły. Idea związana jest z poglądami Harvey’a, który twierdzi, że od czasów Rewolucji Przemysłowej ludzie stracili w dużej mierze możliwość tworzenia czegoś w celu samorealizacji. Zostało to zastąpione wytwarzaniem produktów przeznaczonych na sprzedaż. Redukcja twórczego, nie nastawionego na zysk charakteru ludzkich



działań, skłoniła Harvey’a do opisywanego „performance’u”. Impreza jest miejscem spotkania najdziwniejszych indywiduów na naszej planecie. Event przyciąga artystyczne i niespokojne dusze, które pragną odnaleźć własne miejsce na Ziemi. W dużej mierze atrakcyjność *Burning Mana* polega na obecności samych uczestników. Ich stroje, bądź ich brak, oraz inne elementy wyglądu,

jak wytatuowane ciała czy po prostu przeróżne przebrania, robią ogromne wrażenie. Można tam zobaczyć wymyślnie zdobione środki lokomocji, którymi uczestnicy poruszają się po terenie imprezy (kolorowe rowery ozdobione neonowymi lampkami i motocykle). To wszystko tworzy niepowtarzalny klimat. Idea festiwalu zrodziła się w środowisku bohemy San Francisco, stąd pomysł dania ludziom możliwości doświadczenia prawdziwie artystycznego stylu życia. Chodzi o dzielenie się wszystkim i bytowanie na granicy przeżycia. Obecność na festiwalu daje doskonałą okazję do wyrażenia siebie – wspólnotę *Burning Mana* tworzą zarówno „zwyczajni”, jak i zupełnie nietypowi uczestnicy. Charakter imprezy nawiązuje do baśni, mitologii i tradycji religijnych. To ośmiodniowe show, w którym nie istnieje podział na występujących i widzów, a każdy jest tam mile widziany. Organizatorzy twierdzą, że dopóki nie przeżyje się paru dni na tym festiwalu, dopóty nie będzie się wiedziało, jak tam naprawdę jest.

Anna Grońska



Tak to robią studenci JUWENALIA

*Młodość jest potwornie ciężkim przypadkiem
i chyba nie ma nikogo, kto by z tego wyszedł bez powikłań.*
Agnieszka Osiecka

Słowo *juwenalia* pochodzi od łacińskiego *luvenalia* – igrzyska młodości. Są one niewątpliwie największym, najpopularniejszym świętem młodych ludzi. Czas koncertów, atrakcji, zawodów sportowych, beztroskiej zabawy, chwila oddechu przed letnią sesją egzaminacyjną.

Swoim początkiem sięgają XV wieku, a pierwsze tego typu święto żaków miało miejsce w Krakowie. Od tej pory maj kojarzony jest z juwenaliowym szaleństwem. Na tych kilka wiosennych dni władze ośrodków akademickich przekazują żakom symboliczne klucze do miast, które zamieniają się w tętniące studencką energią festiwale młodości.

Nazwy imprez w konkretnych miastach często przybierają nazwy uczelni bądź dzielnicy, na której się odbywają np. warszawskie Ursynalia, krakowskie Czyżynalia czy Technikalia (Politechnika Gdańska).

Zwyczajem występującym podczas wszystkich juwenaliów jest otwierający kilkudniowe święto pochód. Do tradycji wpisał się także wybór najmilszego studenta i studentki.

Od kilku lat organizuje się również Esnalia, czyli juwenalia międzynarodowe, adresowane przede wszystkim do studentów z wymiany programu Erasmus. Mają one za zadanie zjednoczenie studentów z całej Europy oraz propagowanie polskiej kultury.

W tym roku studenckie święto w Krakowie startuje 6 maja. Szeroki wachlarz zespołów i artystów występujących na podwawelskich scenach bez wątpienia zadowoli każdego. Z koncertami wystąpią m.in. Jamāl, Brodka, Pokahontaz, Coma, Kult.

Iga Serwińska
fot. Grzegorz Łyko





Tylko nie impreza!!!



Wraz z nadchodzącymi ciepłymi miesiącami nasze głowy coraz częściej zajmuje myśl o wyjściu z domu i oddaniu się błogim uciechom w oderwaniu od rzeczywistości. W gronie znajomych przeżywamy bez troski chwile w myśl zasady, że młodość prosi się o nieodpowiedzialność. Nawiązujemy nowe przyjaźnie, poznajemy ciekawych ludzi. Nieustannie poszerzamy grono znajomych, często nie zdając sobie sprawy, że to, co dla jednych jest imprezą życia, dla drugich może stać się koszmarem.

Większość ludzi posiada wrodzoną zdolność do tworzenia i podtrzymywania relacji z innymi, w naturalny sposób umawiając się na imprezy, spotkania w gronie znajomych czy randki. „Teatr życia”, w którym egzystują, wymaga od nich bycia jednocześnie aktorami i widzami. Są jednak i tacy, którzy ani nie grają, ani nie obserwują. Po prostu ich nie ma...

Przyspieszone bicie serca, spocone dłonie, napięte mięśnie i ściśnięty żołądek, gonitwa chaotycznych myśli lub zupełna pustka to uczucia, które nikomu nie są obce. „Nie dam rady, jestem do niczego, wszyscy się na mnie patrzą” – te natrętne myśli pojawiają się w sytuacjach stresogennych jak egzamin, czy choćby wejście do sali pełnej nieznajomych. Nieuzasadniony lęk, nad którym nie sposób zapanować, często nie pozwala normalnie funkcjonować.

Dorota ma 23 lata, studiuje marketing i zarządzanie. Źle się czuje wśród ludzi, ma wrażenie, że wszyscy nieustannie ją obserwują. Nie potrafiąc się wyluzować, wygląda na wiecznie spiętą i zachowującą się nienaturalnie. Każde spotkanie towarzyskie ciężko odreagowuje, dogłębnie analizując wszystkie zachowania ludzi: kto się na nią patrzył, co mógł o niej pomyśleć, i tak w kółko. Nie ma żadnych planów na przyszłość...

Łukasz ma 21 lat, studiuje administrację. Od 18. roku życia kontakt z większą grupą osób wywołuje u niego napady lęku, którym towarzyszy drżenie ciała, kołatanie serca, pocenie i strach. Ataki paniki pojawiają się niezależnie od miejsca, dlatego Łukasz unika wszelkich spotkań towarzyskich. Całymi dniami przesiaduje w domu. Czuje się bardzo samotny.

Ewa jest studentką drugiego roku socjologii. Mówi o sobie, że jest odludkiem: „Każdy z kimś rozmawia, pewnie poznali się na imprezach integracyjnych lub w akademikach, a ja się boję, że jak podejść będą mnie obgadywać. Cała grupa na studiach zintegrowana, wspólne imprezy, a ja sama

zawsze gdzieś wyizolowana, gdzieś na boku, zawsze ostatnia, bojąca się odezwać. Jeżeli nawet bywałam, to czułam się jak piąte koło u wozu. Tańczyć na oczach innych – szok! Nawet jak już jakimś cudem gdzieś wyszłam, co z tego, skoro cały czas miałam wrażenie, że psuje wszystkim humor. Unikam kontaktu wzrokowego, nie znoszę imprez, a jak już się znajdę na jakiejś, to siedzę jak kolek i szukam jakby tu zwać z tej społeczności. Uciekam od życia – zapieram się rękami i nogami, a ono i tak wchodzi mi na głowę”.

Często czynnikiem wyzwalającym lęk społeczny jest doświadczenie ośmieszenia, upokorzenia, które wzmacnia negatywne postrzeganie własnej osoby, a w konsekwencji przyczynia się do obniżenia samooceny. Osoby cierpiące na fobie społeczne mają bowiem błędne wyobrażenie o swoich możliwościach i oczekiwaniach innych. Przekonane są, że cokolwiek robią – robią to źle, i inni to widzą. Naturalnym staje się unikanie sytuacji społecznych. O wyjściu na miasto w gronie znajomych i zabawie do białego rana nie ma mowy. Takie osoby nigdy nie są inicjatorami randek, nie potrafią nawiązać kontaktu, ani go później podtrzymać. Często w ogóle nie tworzą żadnych bliskich związków. Stoją od wypowiedzania się na forum publicznym, na imprezach siedzą schowane w jak najmniej widocznym miejscu, nigdy nie tańczą, przysłowiowo „podpierając ścianę”. Zazwyczaj pozostają niezauważone.

W ten sposób powstaje błędne koło. Osoba w stanie lękowym zachowuje się nienaturalnie, jest skrepowana i wycofana, przez co może zostać odebrana jako ktoś nieprzyjaźnie nastawiony do otoczenia. Brak pozytywnych reakcji z zewnątrz utwierdza ją z kolei w negatywnym przekonaniu na temat samej siebie. Stąd też ludzie cierpiący na fobie społeczne prowadzą samotniczy tryb życia, ponieważ przebywanie w towarzystwie jest dla nich powodem wielkiego stresu.

Wydawać by się mogło, że coś takiego jak brak życia towarzyskiego w dzisiejszych czasach nie istnieje. Nawiązujemy nowe przyjaźnie, szukamy miłości, celebруем czas spędzony w gronie znajomych. Naturalnym wydaje się fakt, że żyjemy wśród ludzi i dla ludzi. W społeczeństwie, w którym trzy czwarte stanowią ekstrawertycy, samotnicy są szufladkowani jako dziwni i nienormalni. Tym, którzy nie potrafią czerpać przyjemności z interakcji społecznych z pomocą może przyjść zrozumienie i empatia wobec ich problemu.

Katarzyna Białek

T... Ekstraklasa jak Premier-Liga

Ekstraklasa S.A. postanowiła wprowadzić zmiany w systemie rozgrywek, zwiększając liczbę kolejek ligowych z obecnych 30 do 37. Jak twierdzi prezes PZPN – Zbigniew Boniek – ta zmiana ma pomóc w rozwoju polskiej piłki nożnej. Czy aby na pewno to krok w dobrym kierunku?

Sezon 2013/2014, według wstępnych ustaleń, ma się rozpocząć 13 lipca, a mistrz kraju miałby być wyłoniony nie później niż 31 maja. Co za tym idzie, piłkarze będą mieli półtora miesiąca przerwy między sezonami. Rozgrywki „nowej” Ekstraklasy rozpocznie runda zasadnicza (podobnie jak w sezonie 2012/2013), składająca się z 30 kolejek w systemie mecz i rewanż. Po jej zakończeniu, punkty wszystkich drużyn zostaną podzielone na pół i zaokrąglone do góry. Runda finałowa – w zależności od tego, czy Polska awansuje do Mistrzostw Świata – zacznie się 15 lub 22 lutego i będzie obejmować 7 kolejek w systemie jednego meczu. Zespoły zostaną podzielone na dwie grupy. W grupie A ma znaleźć się pierwsza ósemka pierwszej części sezonu, a w grupie B – drużyny z miejsc od 9. do 16. Drużyny z miejsc 1-4 oraz 9-12 zagrają cztery mecze u siebie, natomiast te z lokat 5-8 oraz 13-16 rozegrają tylko trzy mecze na własnych boiskach. W całym sezonie zostanie rozegranych 296 meczów, to aż o 56 więcej niż aktualnie. Pomysł jest bardzo konkretny i przyszłościowy, ale czy piłkarze i kibice podolają takiej intensywności?

Podobny system był już testowany przez polską Ekstraklasę w sezonie 2001/2002 i zupełnie się nie sprawdził. Tym razem ma być inaczej. Wtedy zespoły były podzielone od początku sezonu na grupy A i B. Po czternastu kolejkach, cztery najlepsze kluby z obydwu połówek awansowały do grupy mistrzowskiej, a cztery najgorsze do grupy spadkowej. Taki podział doprowadził do tego, że przez cały sezon kibic nie obejrzał ligowych klasyków, choćby takich jak spotkania Górnika Zabrze z Ruchem Chorzów, Legii Warszawa z Widzewem Łódź i Wisły Kraków ze Śląskiem Wrocław, ponieważ kluby te znalazły się w innych grupach. Wiązało się to ze spadkiem zainteresowania widzów, przez co kluby osiągały mniejsze dochody z biletów.

Według zawodników proponowane rozwiązanie może pomóc rozwinąć się naszej lidze. „Kłapa” z sezonu 2001/2002 nie powinna się powtórzyć, ponieważ mamy teraz całkiem inne warunki. Jest sporo nowych stadionów, kolejne są w bu-

dowie, posiadamy również podgrzewane murawy, umożliwiające wydłużenie sezonu. Ponadto system, który ma się pojawić, jest znacznie bardziej dopracowany od tego sprzed dwunastu lat. Piłkarze uważają, że mecze w fazie mistrzowskiej będą bardziej atrakcyjne, ponieważ nie będzie presji związanych ze spadkiem z ligi. W grupie spadkowej również będzie sporo emocji. Kluby z miejsc 9-16 będą walczyć do ostatniej kolejki o utrzymanie w Ekstraklasie.

System ma też pewne minusy. Szefowie klubów twierdzą, że „nowa” liga nie przyniesie nic dobrego. Kibice nie będą zainteresowani pierwszą częścią sezonu, ponieważ nie wyłoni ona mistrza kraju, a większa ilość meczów wpłynie na niższą frekwencję widzów, którzy już teraz narzekają na ceny biletów. Kluby będą musiały dokładać do spotkań, wypłacać wyższe pensje, co może doprowadzić do jeszcze większego kryzysu w polskiej Ekstraklasie. Włodarze klubów są zdania, że piłkarze również mogą nie poddać takiemu wysiłkowi, ponieważ już teraz odczuwają przeciążenia, związane z częstotliwością spotkań.

Podobny system można zaobserwować w rosyjskiej *Premier-Liga* i szkockiej *Scottish Premier League*. Są to ligi o kilka klas lepsze od polskiej, co wyraźnie widać po występach w europejskich pucharach. Drużyny z Rosji i Szkocji odnoszą w nich spore sukcesy, czego nie można powiedzieć o naszej Ekstraklasie, która ostatni raz swojego przedstawiciela w fazie grupowej Ligi Mistrzów miała 17 lat temu. Władze PZPN, poprzez wprowadzone reformy, liczą na zbliżenie się do poziomu tych dwóch lig. Czy jednak wzięły pod uwagę, że podczas tak prowadzonych rozgrywek, mogą pojawić się mecze o „pietruszkę”? Kiedy spotka się 7 z 8 drużyną to można się domyślić, że kluby nie będą się angażować w odpowiednia oprawę i poziom sportowy meczu, ponieważ 7. miejsce i tak niczego nie zmienia. Może władze powinny wziąć przykład z angielskiej *Premier League* i – zostając przy „starej” lidze – zwiększyć liczbę zespołów do 20?

Jedno jest pewne: polska piłka potrzebuje rewolucji, ponieważ od lat 80-tych jesteśmy w tym samym miejscu, a świat idzie do przodu. Czy wprowadzane zmiany w rozgrywkach coś zmienią? O tym przekonamy się pod koniec przyszłego sezonu.

Sebastian Dobrowolski

EKSTRAKLASA

Sport w rytmie samby

Prawie rok minął od momentu, gdy najlepsze piłkarskie kraje Europy gościły na stadionach w Polsce i Ukrainie. Choć niektórzy kibice do dziś wspominają efektowny triumf Hiszpanów podczas Euro 2012, świat piłki nożnej powoli szykuje się do kolejnego wielkiego wydarzenia. Tym razem oczy wszystkich zwrócone będą na brazylijskie São Paulo, gdzie za trzynaście miesięcy zostanie zainaugurowany dwudziesty w historii mundial. Do rozpoczęcia imprezy zostało dużo czasu, niemniej jednak już wyczuwa się radosną atmosferę, związaną z przygotowaniami do tak ogromnego przedsięwzięcia, jakim są mistrzostwa świata. Tym bardziej, że ich gospodarzem będzie najbardziej utytułowany kraj w historii piłki nożnej. Brazylia przeprowadzi mundial po raz drugi (wcześniej w 1950 r.). Z kolei po emocjach czysto piłkarskich, zaczną się działania dotyczące realizacji... Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro. Brazylijczycy nie zwolnią więc tempa i w 2016 roku, jako pierwsze państwo z Ameryki Południowej, zorganizują największą imprezę sportową na świecie.

Do tej pory Brazylia niemal wszystkim kojarzyła się z gorącymi plażami, karnawalem, pięknymi kobietami, no i oczywiście z jedyną w swoim rodzaju kuźnią piłkarskich talentów. Za kilka lat, sposób w jaki będziemy patrzeć na kraj kawy, może ulec radykalnej zmianie. Dzięki przeprowadzeniu prawdopodobnie dwóch najważniejszych wydarzeń sportowych na świecie, zainteresowanie tym portugalskojęzycznym państwem z pewnością wzrośnie kilkukrotnie. Do 2016 roku przez Brazylię przewinie się mnóstwo sympatyków sportu z całego świata. Za sprawą odpowiedniej reklamy, największy kraj Ameryki Południowej może przykuć uwagę także „zwykłych” turystów. Zarówno w 2014 roku, jak i dwa lata później, Brazylię będą hucznie obserwować prawie wszystkie światowe media. Władze federacji muszą więc jak najlepiej przygotować się do obu imprez, dbając też o należyty wizerunek swojego kraju. Zwłaszcza, że minusów jest sporo, a ogólna sytuacja, jaka w nim panuje, pozostawia wiele do życzenia. Najważniejsze ustalenia wiążą się naturalnie z przebudową infrastruktury. Pozostaje jednak kilka odrębnych kwestii, z którymi państwo brazylijskie musi się uporać. Jeszcze do niedawna ogromnym problemem Brazylii był rasizm. Choć w ciągu ostatnich kilku lat dużo na tym polu się poprawiło, warto postarać się, aby w trakcie trwania, czy to mundialu, czy igrzysk, nie doszło do żadnych incydentów związanych właśnie z dyskryminacją rasową. Ze względu na znaczny wskaźnik przestępczości w kraju kawy, należy zająć się też o bezpieczeństwo – nie tylko kibiców, ale również sportowców. Ponadto Brazylia, podobnie jak kilka innych państw Ameryki Łacińskiej, słynie z karteli narkotykowych i wojny gangów. Na porządku dziennym jest też prostytutka – w tym przypadku legalna. Co ciekawe, z uwagi na zbliżające się mistrzostwa świata, brazylijskie prostytutki zostaną wysłane na... kurs angielskiego. Tylko po to, aby ułatwić im komunikację z osobami posługującymi się tym językiem. Jak widać, problemów jest sporo. Wiele z tych „rzeczy” dzieje się jednak z dala od centrów wielkich miast, a bardziej w slumsach przypominających chociażby te przedstawione w filmie „Miasto Boga”. Mimo to, brazylijski rząd, na czele z Prezydentem Dilmą Rousseff, musi zrobić wszystko, aby zminimalizować ich wpływ na kibiców oraz na przebieg samych imprez.



To tyle jeśli chodzi o minusy. A największymi plusami będą oczywiście mistrzostwa świata i igrzyska olimpijskie. Wszystko rozpocznie się dokładnie 12 czerwca 2014 roku, we wspomnianym São Paulo. To właśnie na tamtejszym stadionie zostanie rozegrany pierwszy z 64 meczów mundialu. Oprócz São Paulo, gospodarzami mistrzostw zostaną miasta takie jak: Belo Horizonte, Brasília, Cuiabá, Curitiba, Fortaleza, Natal, Salvador, Rio de Janeiro, Recife, Porto Alegre, a także Manaus. W turnieju wezmą udział 32 drużyny z pięciu lub sześciu kontynentów (wśród nich niemal na pewno zabraknie reprezentacji Polski). Mecz o trzecie miejsce odbędzie się 12 lipca na stadionie Estádio Nacional w Brasília, finał natomiast dzień później na słynnym obiekcie Maracanã w Rio de Janeiro. Największego faworyta brazylijskiego mundialu można upatrywać w ekipie gospodarzy. Wprawdzie popularni „Canarinhos” ostatnio nie spisują się tak, jak nas do tego przyzwyczaili, ale obecność własnej publiczności na pewno zmotywuje ich podwójnie. Z pewnością mocna jak zawsze będzie również Argentyna, a także reprezentacje europejskie – Hiszpania, Niemcy, Włochy, Francja, czy Holandia. Przedsmakami przyszłorocznych piłkarskich emocji, będzie rozgrywany jeszcze w czerwcu tego roku Puchar Konfederacji. Impreza ta jest swoistą próbą generalną przed każdym mundialem – jej gospodarzem jest państwo, które organizuje mistrzostwa świata. Bierze w niej udział osiem drużyn – sześciu zwycięzców mistrzostw kontynentalnych (Europa, Ameryka Północna i Środkowa, Afryka, Azja, Ameryka Południowa, Oceania), a także mistrz świata oraz gospodarz. Podczas tegorocznej edycji turnieju, zostanie wprowadzonych kilka nowości, które docelowo mają być wykorzystane w trakcie brazylijskiego mundialu. Najważniejszą z nich będzie zastosowanie specjalnej technologii o nazwie GoalControl-4D, określającej czy piłka na pewno przekroczyła linię bramkową. Ma to na celu częściowe wyeliminowanie sędziowskich pomyłek, których niestety we współczesnej piłce nożnej jest coraz więcej.

Kiedy jeszcze dobrze nie ochłoniemy po emocjach piłkarskich, Brazylia już będzie przygotowywać się do kolejnego sportowego święta. Ciężko w to uwierzyć, ale nigdy wcześniej, w ponad stuletniej historii nowożytnych igrzysk olimpijskich, impreza ta nie odbywała się w Ameryce Południowej. Debiut przypadnie na Rio de Janeiro. 31. letnie Igrzyska będą miały miejsce w dniach 5-21 sierpnia 2016 roku, a zarówno ceremonia ich otwarcia, jak i zamknięcia odbędą się tam, gdzie finał mundialu, czyli na Maracanã. Na jednym z największych obiektów sportowych na świecie rozegrane zostaną też – co oczywiste – mecze piłki nożnej. Jako główny stadion igrzysk, Maracanã powinna być areną zmagani lekkoatletów, jednak po raz pierwszy w dziejach, ugości ich inny stadion – w tym wypadku Estádio Olímpico João Havelange. Na dzień dzisiejszy w programie igrzysk widnieje dokładnie 28 dyscyplin, a ponad 10 tysięcy sportowców ma stoczyć walkę o 306 kompletów medali. Być może liczba konkurencji ulegnie zmianie – Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) rozważa bowiem wprowadzenie dodatkowych zmagani m.in. w pływaniu i kolarstwie. Po ponad stu latach przerwy do olimpijskich



dyscyplin powróci golf, wznowiona zostanie także rywalizacja w 7-osobowej odmianie rugby. Zabraknie natomiast m.in. baseballu oraz softballu, wycofanych z programu po Igrzyskach w Pekinie w 2008 roku. Odnosnie zmian, pod uwagę brane jest też zwiększenie liczby drużyn, startujących w koszykówce, siatkówce plażowej i piłce wodnej. Jeśli podczas mundialu raczej nie zobaczymy polskiej drużyny, to dwa lata później w Rio, biało-czerwoni pojawią się w liczbie przekraczającej 200 osób. Nasi reprezentanci bez wątplenia będą chcieli zrehabilitować się za niezbyt udane ubiegłoroczne Igrzyska w Londynie, gdzie zdobyli zaledwie 10 krążków.

Ostatnim akcentem wielkiego brazylijskiego święta będą odbywające się zawsze po głównych Igrzyskach, zawody sportowców niepełnosprawnych. Igrzyska paraolimpijskie nie są imprezą tak medialną, jak mundial, czy „zwykła” olimpiada, dlatego – jeżeli nic się nie zmieni – na dokładne śledzenie rywalizacji będą mogli pozwolić sobie jedynie ci, którzy osobiście zasiadą na trybunach olimpijskich obiektów w Rio.

Jeszcze do niedawna Brazylia była słabo rozwiniętym państwem, ogarniętym biedą i przemocą. Wkrótce, za sprawą zbliżających się imprez, może stanowić o sile światowej gospodarki. Już teraz, w związku z mundialem i igrzyskami czynione są ogromne inwestycje, mające na celu poprawę sytuacji w kraju kawy. W samym tylko Rio zamykane są dzielnice biedoty – tzw. favele, a do 2016 roku planowane jest przyłączenie ich do pozostałych części miasta. Ze względu na ochronę swojego terytorium podczas trwania imprez, Brazylia dostanie kilkadziesiąt pojazdów z rakietami przeciwlotniczymi – mogą one przydać się także w przyszłych latach. Najważniejsze w tym wszystkim będą naturalnie jednak same imprezy – to dzięki nim ten położony nad Amazonką kraj znajdzie się w centrum zainteresowania niemal całego świata. Ranga, jaka towarzyszy piłkarskim mistrzostwom oraz igrzyskom olimpijskim, przyciągnie mnóstwo kibiców z różnych kontynentów. Zapowiadają się więc niezwykle emocje – prawdziwy sportowy karnawał, który rozpocznie się za trochę ponad rok w São Paulo, a zakończy dwa lata później w Rio de Janeiro.

Piotr Skwarczyński



LEVI STRAUSS

Jeśli impreza to džinsy. Jeśli džinsy to tylko Levisy. Tym razem o twórcy najlepszych i najpopularniejszych spodni na świecie, które zawędrowały pod strzechy i przez lata ewoluowały stając się ostatecznie symbolem wolności, stylu i bezpretensjonalnego szyku.

„Nowa para ZA DARMO” – tak w 1873 roku brzmiał napis na ceratce dołączanej do każdej sprzedanej pary spodni Levi Strauss and Company. Gwarantowało to dostarczenie drugiej pary džinsów w razie zniszczenia się pierwszej. Jak łatwo można się domyślić, owa reklamacja nigdy nie miała miejsca.

Rycina na skórzanej metce umieszczanej na tylnej części spodni przedstawiała dwa narowiste konie, które pędzone batem przez woźniców próbują rozerwać džinsy na dwie połowy. Historia pokazała, że nie był to w żadnym wypadku przejaw arogancji i bezczelnej pewności siebie twórcy – to jedynie zilustrowany fakt, potwierdzający niezniszczalność i długowieczność produktu, który zrewolucjonizował branżę odzieżową.

„Jestem kawalerem i myślę, że dlatego mogę więcej pracować, bo całe moje życie to zajmowanie się interesami. Nie wierzę, żeby człowiek, który nauczył się być stale zajęty, mógł wycofać się z pracy z zadowoleniem. Nie sądzę, żeby wielkie pieniądze uszczęśliwiały ich posiadacza, bo każdy, kto je ma, zaraz staje się niewolnikiem swojego bogactwa. Nie sądzę też, by dzięki pieniądзом można było pozyskać przyjaciół. W rzeczywistości skutek bywa raczej odwrotny”. Ten cytat pochodzący z wywiadu udzielonego dla „San Francisco Bulletin” to kwintesencja natury Levia Straussa, który równie niechętnie unikał rozgłosu, co jakichkolwiek publicznych zwierzeń.

Urodził się 26 lutego 1829 roku w Buttenheim, w Niemczech, jako najmłodsze dziecko z sześciorga rodzeństwa. Od początku przejawiał ponadprzeciętny zmysł biznesowy. Otoczony wszechobecną i dotkliwą biedą postanowił, że zrobi wszystko, aby nigdy więcej nie zaznać głodu. I jako człowiek czynu i honoru słowa dotrzymał. I to z nawiązką.

W 1847 roku, rodzeństwo Straussów osierocone przez ojca emigruje wraz z matką do krainy cudów, wolności i szczęścia na wyciągnięcie ręki. To Stany Zjednoczone stają się ich nową ziemią obiecaną. Tam osiemnastoletni Levi rozpoczyna realizację swego planu bez buty i pragnienia szybkiego zysku, czyli od samych, najtrudniejszych podstaw. Zostaje przyjęty do grupy domokrażnych sprzedawców. Zarówno wtedy, jak i dziś, niewdzięczna dola akwizytora wymagała od młodego adepta handlu odporności oraz daru zjednywania sobie ludzi. Dla chłopaka o wyraźnie semickiej urodzie, którego rodzina wciąż musiała walczyć z narzucanymi Żydom ograniczeniami, rola sprzedawcy była wielokrotnie dotkliwsza i trudniejsza.

Po pięciu latach noszenia ciężkich pakunków przez góry Kentucky, do Straussa uśmiechnął się los. Po niciach, igłach, naparstkach, guzikach, przędzach, nożyczkach





i grzebieniach przyszła pora na „genu-enki” – spodnie szyte z lekkiego materiału tkanego początkowo w Genui, we Włoszech. To one stały się inspiracją do odkrycia i stworzenia fenomenu na skalę światową – dżinsów.

W 1853 roku Levi wraz ze swym szwagrem, Davidem Sternem, przybywa do San Francisco i tam wśród poszukiwaczy złota zajętych gorączkowymi wykopalskami, trafia na swoją własną żyłę złota. Pewnego razu zauważa jak zniszczoną i nietrwałą odzież noszą owi odkrywcy-amatorzy. Z materiału służącego za pokrycia ich wozów szyje pierwsze pary oryginalnych jeansów, znanych do dzisiaj jako Wzór nr 501. Dzięki napływowi mężczyzn ze wszystkich stanów Ameryki (200 tysięcy kopaczy miesięcznie w samym S.F.) młody przedsiębiorca osiąga niebywały sukces. Rodzi się spółka „Levi Strauss and Company”.

W 1886 roku w czteropiętrowym budynku na Battery Street w San Francisco i wschodnim oddziale w Nowym Jorku powstają „błękitne cuda”. Nowy akcjonariusz Jacob W. Davis, krawiec z Newady, przeszywa barwione, drelichowe spodnie pomarańczową nicią i wzmacnia kieszenie nitami tej samej barwy. Dodatkowo tworzy znak firmowy – tylne kieszonki z oranżowymi literami V oraz skórzaną metkę w pasie. To wyróżnia dżinsy od wszystkich innych spodni.

W 1886 roku dochód firmy osiągnął wysokość dwustu tysięcy dolarów! Produkty Levisa reklamowane jako „doskonale przydatne dla ludzi zajmujących się pracą fizyczną” nosili tzw. wszyscy prawdziwi twardziele – od kopaczy

i drwali, poprzez kowbojów, aż po woźniców.

Pewny stabilnej sytuacji finansowej i sprzyjających prognoz na przyszłość, twórca dżinsów w 1886 roku oddał kierownictwo spółki synom swej młodszej siostry. On sam zaś zajął się mniej lub bardziej udanymi inwestycjami. Odzieżowa „emerytura” oznaczała produkcję towarów sypkich, szeroko pojęty transport i komunikację (choćby niefortunna budowa kolei przez Środkową Dolinę Kalifornijską), zasiadanie w zarządach przedsiębiorstw, korporacji i banków oraz obrót nieruchomości.

Jednak Strauss nie byłby sobą, gdyby swych dóbr nie przekuł w realne dobro, a mianowicie działalność charytatywną i filantropijną. Na liście jego licznych darów serca znajdują się m. in. domy opieki dla star-

szych ludzi, Żydów, sierot katolickich i protestanckich oraz fundusze stypendialne dla uniwersytetów.

Levi Strauss zmarł 26 sierpnia 1902 roku i... pomagał nawet po śmierci. Organizacjom dobroczynnym, rodzinie i przyjaciołom zapisał w testamencie astronomiczną sumę 1,6 miliona dolarów w zlocie, a swym lojalnym siostrzeńcom zostawił firmę i... resztę z 6 milionów dolarów w nieruchomościach.

Sądzę, że znany z poczucia humoru i dobroduszości Levi Strauss nie zachnąłby się na stary, żydowski kawał opowiadany po jego śmierci:

Po pogrzebie bajecznie bogatego i znanego wszystkim przedsiębiorcy Leviego Straussa, tłumy żałobników w milczeniu i smutku opuszczają cmentarz. Późnym popołudniem na grób przychodzi przyjaciel zacnego nieboszczyka i zauważa lkającego i zrozpaczonego stojącego tam mężczyznę. Podchodzi i zagaduje:

- Byliście znajomymi?

- Nie! – odpowiada w spazmach mężczyzna.

- Mielście wspólne interesy? – nie odpuszcza.

- Nie!

- Więc pewnie byliście rodziną?

- Też nie! – wykrzykuje coraz bardziej poirytowany człowiek.

- Więc dlaczego tak płaczecie? – pyta zdezorientowany przyjaciel.

- No właśnie dlatego!

Anna Kamińska

KOFEINA

Co miesiąc zapraszamy czytelników „Mixer” do dyskusji na zaproponowany przez nas temat. Podsluchujemy ich, co mówią, a potem publikujemy ich wypowiedzi. Tym razem odpowiadali na pytanie:



Sylwia Wlazlo
Studentka pierwszego roku pielęgniarstwa na Krakowskiej Akademii. Wesola, pełna energii, żadna przegód. Jej zainteresowania to głównie muzyka (polski rap) i podróże.

Katarzyna Kika Krzysica
Studentka pierwszego roku dziennikarstwa na Krakowskiej Akademii. Sympatyczna i zabawna. Uwielbia czytać i oglądać filmy z Marilyn Monroe. Entuzjastka Snickersów.

Koncert czy Bieszczady?

Na miejsce kolejnego spotkania z trójką naszych wygadanych przyjaciół wybraliśmy krakowski pub Spokój i Cisza. Z momentem przekroczenia przez nich progu lokalu, cisza została zakłócona, a spokojne wnętrza miejsca wypełniły żwawe rozmowy...

Sylwia: Miło tutaj. Brakuje tylko jakiejs muzyki.

Kinek: Masz rację, to od razu zmieniliby klimat.

Kika: Zastanawialiście się kiedyś w ogóle nad tym, jak ważna w życiu jest muzyka? Tworzy nastrój, łączy ludzi.

Kinek: Dokładnie! Na przykład fenomen festiwalu – kilka zespołów czy dj-ów, a zbierają milionową publiczność. Wszyscy zjednoczeni w miłości do konkretnego gatunku muzyki. Ale to wiąże się też często ze stylem bycia, sposobem ubierania.

Kika: To trochę ograniczające... Zamykać się w jakimś określonym kręgu z powodu upodobań.

Sylwia: Zgadza się. Trzeba być otwartym. Ja tam wolę lokalne koncerty, O.S.T.R i takie tam. Boję się festiwalowych spędów.

Kinek: Co Ty gadasz? Wiesz jakie to są przeżycia? Taki Tomorrowland, może nie jestem wielkim fanem elektronicznych brzmień, ale wybrałbym się tam dla samego klimatu. Niesamowite dekoracje, ludzie z całego świata. To po prostu coś nie do opisania. Obejrzyj sobie *aftermovie*, ciarki to mało powiedziane. Do tego muszę jeszcze podreperować swój budżet, dlatego w tym roku wybieram tańszą opcję. Jadę na Cieszanów Rock Festiwal.

Sylwia: O, super. Słyszałam o tym sporo, kto gra w tym roku?

Kinek: Z tych popularniejszych to: Kult, Koniec Świata, Madball, Czesław Śpiewa, Riverside, Dżem, Hunter i Power of Trinity. Myślę, że będzie niezła jazda, hehehe.

Sylwia: Dla Ciebie to ekstra klimaty. Ja szukam jakichś rapowych koncertów, chociaż w Krakowie nie ma z tym problemu.

Kika: Ja tam wolę Snickersy <śmiech>.

Kinek: No słyszałem o Twoich „czekoladoholicznych” zapędach <śmiech>.

Kika: Dobra, dobra. Zmiana tematu... Gadaliśmy o zamykaniu się w określonym kręgu. Mam jedną koleżankę. „Zabawna” osobka. W przeciągu dwóch lat zdążyła być punkiem, metalem, techno girl, a nawet... z zacięciem słuchała muzyki klasycznej.

Sylwia: A co w tym złego. Przecież to znaczy, że jest otwarta.

Kika: Nie, bo każdy etap swoich „przemian” musiała zacięcie opisywać na blogu. Czyli robiła to świadomie, poza tym dostosowywała swoje upodobania do chłopaków, z którymi była.

Kinek: No wiesz, to w zasadzie naturalne. Upodabniamy się do ludzi, którzy nas otaczają. Fajnie jest poprobować różnych gatunków, żeby w końcu znaleźć coś, w czym czujemy się najlepiej. Myślę, że taki jednokierunkowy gust świadczy trochę o dojrzałości, że znamy siebie, wiemy już, co nam leży, a co nie.

Sylwia: Dobra, to nie jest aż tak istotne. Dobre brzmienia po prostu pozwalają oderwać się od szarej rzeczywistości. Dla mnie, jak wracam do domu po stresującym dniu, moje ulubione kawalki są jak terapia. Każdy odnajduje ukojenie w innych dźwiękach.

Kika: Wyobrażacie sobie np. dobrą imprezę bez muzyki?

Kinek: Ta... Ciężko by było, chyba, że mowa o jakiejs „posiadówce”. A słyszeliście może o Silent Party?

Sylwia: Coś mi się obilo o uszy, ale nie wiem, na czym to dokładnie polega.

Kinek: Fajna sprawa. Alternatywna. Wchodząc na imprezę ludzie dostają słuchawki z trzema kanałami i podczas tańca mają do wyboru trzy rodzaje muzyki. W klubie panuje kompletna cisza. Kiedy zdejmiesz słuchawki wygląda to dosyć komicznie. Wiem, że w Krakowie organizują to co jakiś czas w klubie Forty Kleparz.

Kika: Ja lubię imprezy tematyczne, chociaż ciężko



Krystian Kinek Błahuta
Student pierwszego roku
informatyki na Uniwersytecie
Ekonomicznym. Otwarty,
o specyficznym poczuciu
humoru, interesuje się muzyką
i grafiką komputerową.

czasem zorganizować dobrą ekipę. Chodzi mi o coś np. w stylu lat 60 albo Hawaï party. Na Halloween moja kumpela rozkręciła przebieraną domówkę. O przebraniach wiedział każdy, a przebrały się w sumie tylko 4 osoby. W tym ja i ona.

Sylwia: No dobra. A zostawiając temat imprez to co planujecie robić podczas nadchodzących w maju i czerwcu długich weekendów?

Kika: Kierunek Bieszczady!!! Hej przygodo!

Sylwia: No nie mów? Ja też kocham góry, chociaż kiedyś byłam sceptyczna. Raz moja koleżanka, była harcerka, proponowała taką wyprawę. Ja, totalny żółtodziób, wybrałam się w lekkich adidasach, sportowej sukience i z torbą. Ona z wielkim plecakiem, w butach trekkingowych i namiotem pod pachą, wyśmiała mnie okrutnie. Slabo się przygotowałam, ale dałam radę i dobrze się bawiłam. Później te majowe wypadki stały się naszą małą tradycją. Już odliczam dni do tegorocznego wyjazdu. Tym razem większą grupą.

Kinek: No, ja zamierzam jechać na taką objazdówkę po Europie z kumplem. Zainspirował nas film „Eurotrip”.

Kika: Uwielbiam ten film, najbardziej podobala mi się ta sytuacja w pociągu. Miscuzi Miscuzi (czy jak to się tam mówi) <śmiech>

Sylwia: Noooooo, uśmiełam się przy tym jak głupia. Oglądałam to z 10 razy i za każdym razem tak samo się cieszę...

Kinek: Tej sytuacji z pociągu wolałbym jednak uniknąć <śmiech>, ale było tam mnóstwo innych zabawnych akcji.

Sylwia: Oby wszyscy się dobrze bawili, bo już nie mogę się doczekać odpoczynku...

Kika: Noo, żeby tylko przeżyć bezwypadkowo tą sesję i już wakacje. Chociaż studentom wakacje kojarzą się bardziej z saksą niż leżeniem do góry brzuchem.

Kinek: Ja tam potrzebuję odetchnąć, ale są 4 miesiące, więc można to jakoś spokojnie pogodzić...

Podsluchiwały:

Anna Gronska, Iga Serwińska

Zamiast recenzji

Kompakt rzecz podrzędna

Jestem z czasów, kiedy zagraniczna płyta uchodziła za obiekt kultu. Nie tylko stała w pokoju na eksponowanym miejscu, ale nawet jej okładka podlegała specjalnej ochronie.

Obwolotę traktowaliśmy z równie wielką abencją, co czarną płytę. Notabene, kiedy widzę jak dziś DJ'e wyjmują winyle z opakowań, to aż mi ciarki przechodzą po plecach. Prawdziwego mistrza rozpoznasz po tym, że wyciągnie krążek nie dotykając rowków z nagraniem.

Dla mojego pokolenia kolekcjonerów okładka była nierozłącznym elementem muzycznego przeżywania. W czasach, kiedy nie było wideo, satelity, kolorowe błyszczące koperty stanowiły łącznik z innym, niedostępnym dla nas światem. W połączeniu z muzyką jak nic innego działały na naszą wyobraźnię. Plastycy przedstawiali coraz bardziej wymyślne projekty. Zdjęcia zespołów zastąpiły psychodeliczne rysunki i artystyczne fotografie. Okładki zaczęły się rozkładać na dwie części, a potem na cztery i więcej. Kwadratowy kształt przemieniał się w ośmiokąt, monetę, puszkę, a nawet gazetę. Wszystko było możliwe.

Wejście na scenę płyty CD nieuchronnie doprowadziło do upodlenia okładki. Ponadpięciokrotnie mniejszy format kompaktu ograniczał niemiłosiernie możliwości popisu dla plastyków. Nie przypadkiem do początku lat 90. w Ameryce płyty kompaktowe pakowano do kartonowych pudełek, powiększających format CD, tak by kupujący nie miał poczucia, że nabywa produkt gorszy niż czarna płyta.

Na fali nostalgii za analogami od kilku lat wydawane są kompakt w pomniejszonych replikach dawnych, kartonowych okładek, świetnie funkcjonują firmy specjalizujące się w luksusowych kartonowych obwolotach, których produkty nie tylko nawiązują do starych wzorców, ale okładki stanowią rozszerzone wersje dawnych projektów. Zachodni wydawcy, mimo ograniczonych możliwości, wiedzą jak ważna dla fana jest okładka płyty.

Do czego zmierzam? Do kolejnego przykładu świadczącego o braku szacunku polskich przedstawicielstw zagranicznych koncernów do klientów. Okładka płyty jest w Polsce traktowana nie jak dzieło sztuki, nawet nie jak obrazek mający przyciągnąć uwagę kupującego, ale jak powierzchnia reklamowa dla wszelkiego rodzaju firm. Pamiętam jak na froncie składanki Red Hotów znalazłem siedem różnych nalepek! Czy ktoś ma świadomość, jakie boje swego czasu toczyli wykonawcy w celu zachowania artystycznej wizji swoich okładek?

Oczywiście nasi wykonawcy w ogóle nie mają moralnych rozterek i z okładkami ich płyt można robić wszystko. Ponieważ nalepkę można zerwać, na pierwszych stronach książeczek wydrukowane są loga stacji radiowych i sponsorów. Zajmują często jedną piątą powierzchni płyty. Krzysztof Cugowski posunął się nawet do tego, że solowy album zatytułował, parafrazując nazwę banku, który wyłożył kasę na nagranie płyty. A co tam!

A dawniej to nawet się wahało okładki nowych płyt, bo pachniały lepszym światem. A jak ktoś dostał pieczętkę (czytaj: winyl zapakowany w plastikową obwolotę), to, przynajmniej we własnych oczach, czuł się Bogiem.

Maciej Saskowski

NOWOŚCI

Opracowanie: KINGA SZYDŁO

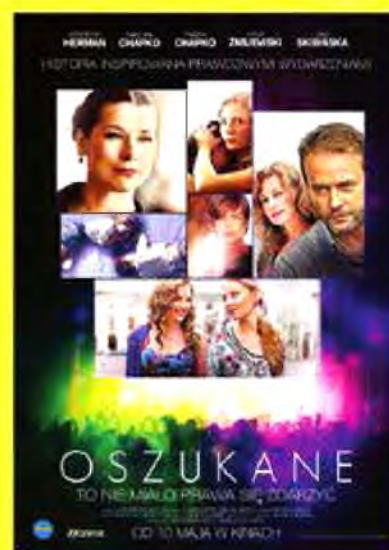
„OSZUKANE” reżyseria Marcin Solarz

PREMIERA: 10.05.2013 r.

Film, który pokazuje jak nieprawdopodobną siłę potrafi w sobie znaleźć człowiek, gdy los wystawia go na wielką próbę.

Przypadkowe spotkanie dwóch bardzo podobnych do siebie nastolatków prowadzi je do odkrycia nieprawdopodobnej pomyłki sprzed lat. Historia sióstr podmienionych w jednym ze szpitali, nagłośniona przez media wzbudziła ogromne emocje. Wstrząsnęła życiem dwóch rodzin, które od tego momentu nie było już takie samo... Nowe życie odnalezionych po latach sióstr, szybko okaże się mieć pozornie słodki smak. Ile warto jest poznać prawdę? Czy miłość może rozgrzeszyć wszystkie nasze działania? Czy obu rodzinom uda się wyjść zwycięsko z próby, którą zgotował im los?

W filmie znakomita Katarzyna Herman jako matka ponosząca największy koszt okrutnej pomyłki sprzed lat, Ewa Skibińska i Artur Żmijewski w rolach rodziców próbujących za wszelką cenę chronić swoją rodzinę oraz Karolina i Paulina Chapko jako siostry, których serce wybiera tę samą miłość. Film inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Historia, która nie miała prawa się zdarzyć.



„ROCKS AND HONEY” Bonnie Tyler

PREMIERA:

10.05.2013 r.

Bonnie Tyler powraca zaskakująco w wielkim stylu. Okazuje się bowiem, że to Bonnie Tyler wygrała brytyjskie

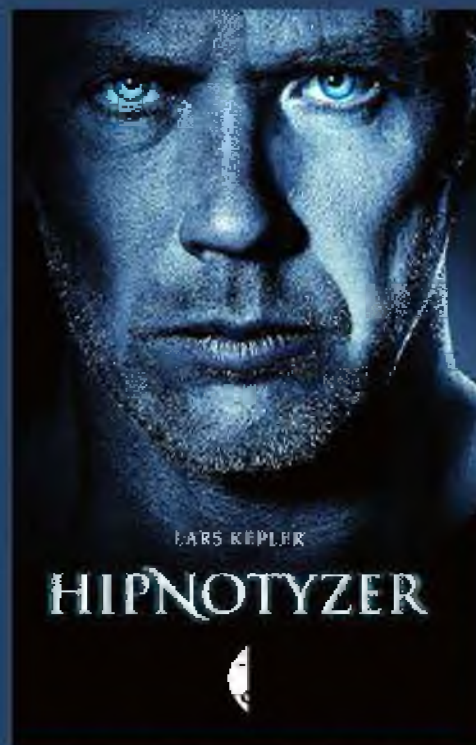
eliminacje i staje się reprezentantką swojego kraju na tegoroczny „Eurovision Song Contest”, który odbędzie się w szwedzkim Malmö. Jej nowy album to *Rocks & Honey*, znajduje się na nim zwycięska piosenka *Believe In Me*. Bonnie Tyler zaistniała pierwszym światowym hitem *Lost in France* w 1976 roku. To był początek globalnej kariery światowych przebojów takich jak *To Heartache*, *Total Eclipse Of The Heart*, czy *Holding Out For A Hero*. Płyta *Rocks & Honey* została wyprodukowana w Nashville przez David Huffa we współpracy z gwiazdą country Vincem Gillem. Płyta zawiera 13 nowych utworów, jeden z nich to właśnie duet z Vincem – *What You Need From Me*. Obecnie Bonnie powoli wraca do koncertów, ostatnio uczestniczyła w cyklu koncertów *Rock Meets Classic*, gdzie pojawiła się na scenie razem z Paulem Rodgersem (Free, Bad Company, Queen), Eric Bazilianem (Hooters), Steve Augerim (Journey), Chrism Thompsonem (Manfred Mann Earth Band).

„HIPNOTYZER” autor Lars Kepler

PREMIERA: 10.05.2013 r.

W środku grudniowej nocy psychiatrę Erika Marię Barka budzi telefon ze sztokholmskiego szpitala. Komisarz kryminalny Joona Linna prosi go o pilną pomoc – leczenie nieprzytomnego pacjenta, który doświadczył poważnego urazu. Ma nadzieję, że za pomocą hipnozy Erik będzie mógł komunikować się z chłopcem, umożliwiając policji przesłuchanie go. Dzięki temu może uda się ustalić, kto brutalnie zamordował jego rodziców i młodszą siostrę, a następnie znaleźć i ocalić starszą siostrę, zanim będzie za późno.

Jednak od ostatniego razu, gdy Erik praktykował hipnozę, minęło dziesięć lat, a psychiatra obiecał sobie, że nigdy do tego nie wróci. Powracające bolesne wspomnienia z tamtego czasu sprawiają, że decyduje się odmówić policji swojej pomocy. Gdy w końcu daje się jednak przekonać, zostaje uruchomiona seria nieprzewidzianych zdarzeń...



„HEMINGWAY I GELLHORN” reżyseria Philip Kaufman

PREMIERA: 31.05.2013 r.

Wydarzenie produkcji HBO. Opowieść o jednym z najgłośniejszych romansów ostatniego stulecia – historia pełnej pasji miłości i burzliwego małżeństwa literackiego geniusza Ernesta Hemingwaya (Owen) i pięknej korespondentki wojennej Marthy Gellhorn (Kidman), która przedstawia ich losy podczas hiszpańskiej wojny domowej i późniejszych wydarzeń. Będąc świadkami historii relacjonowali światu największe konflikty swoich czasów, ale najgorsza wojna, której nie dali rady przetrwać, toczyła się między nimi.



„DJANGO” reżyseria Quentin Tarantino

PREMIERA: 15.05.2013 r.

Quentin Tarantino, który jest zarówno reżyserem, jak i scenarzystą zebrał w swoim najnowszym filmie dobową obsadę – zdobywców wielu prestiżowych nagród. Jamie Foxx wciela się w postać niewolnika Django, który razem z łowcą nagród Dr. Kingiem Schultzem (Christoph Waltz), w zamian za wyzwolenie, przemierza amerykańskie południe w poszukiwaniu wszelkiego autoramentu rzezimieszków, złoczyńców i kryminalistów. Jednak najważniejszym celem Django, którego umiejętności tropicieli są coraz doskonalsze, jest odnalezienie żony (Kerry Washington), utraconej dawno temu wskutek handlu niewolnikami. Gdy obaj łowcy trafiają wreszcie do Calvina Candie (Leonardo DiCaprio), brutalnego właściciela niesławnej posiadłości „Candyland”, wzbudzają podejrzenia Stephena (Samuel L. Jackson), zaufanego niewolnika Candiego. Ich plany zostają przejrane, a sami stają się celem ataku niebezpiecznej organizacji.

„WIELKI GATSBY” reżyseria Baz Luhrmann

PREMIERA: 17.05.2013 r.

Nowa kinowa adaptacja powieści F. Scotta Fitzgeralda pt. „Wielki Gatsby” jest dziełem niezwykle pomysłowego scenarzysty, producenta i reżysera Baza Luhrmanna. Reżyser stworzył własną, szczególną interpretację wizualną tej klasycznej opowieści, przywracając epokę do życia w sposób, jakiego wcześniej nie widzieliśmy. W tytułową postać wcielił się Leonardo DiCaprio.

Film Wielki Gatsby przedstawia losy niedoszonego pisarza Nicka Carrawaya, postaci podobnej do Fitzgeralda, który opuszcza Środkowy Zachód i przybywa do Nowego Jorku wiosną 1922 roku, w epokę upadającej moralności, połyskliwego jazzu i królów przemytu alkoholowego. Nick podąża za swoim amerykańskim snem, zamieszkuje w sąsiedztwie tajemniczego, urzędującego liczne przyjęcia milionera Jaya Gatsby’ego, po drugiej stronie zatoki, nad którą mieszka jego kuzynka Daisy wraz ze swym żądnym romansów, arystokratycznym mężem — Tomem Buchananem. Nicka pochłania czarujący świat niezwykle zamożnych ludzi, ich iluzji, miłości i kłamstw. Obserwując go od środka i z zewnątrz, Nick pisze opowieść o zakazanej miłości, snach nie na sprzedaż oraz straszliwej tragedii i stawia przed nami lustro, w którym widzimy odbicie naszej współczesności i zmagani.

Nominowany do Oscara DiCaprio (Krwawy diament, Aviator) gra Jaya Gatsby’ego, Tobey Maguire wciela się w postać Nicka Carrawaya, Joel Edgerton i nominowana do Oscara Vayle Mulligan (Była sobie dziewczyna) występują jako Tom i Daisy Buchananowie, Isla Fisher i Jason Clarke grają Myrtle i George’a Wilsonów, a debiutująca Elizabeth Debicki wciela się w postać Jordan Baker. Legenda hinduskiego kina, Amitabh Bachchan, zagra Meyera Wolfsheima.

Nominowany do Oscara Luhrmann (Moulin Rouge!) reżyseruje film w technologii 3D według scenariusza, którego współautorem jest jego częsty współpracownik — Craig Pearce. Scenariusz oparty jest na motywach powieści Fitzgeralda. Oprócz Luhrmanna producentami filmu są Catherine Martin, Catherine Knapman, Lucy Fisher oraz zdobywca Oscara Douglas Wick (Gladiator). Producentami wykonawczymi są nagrodzony Oscarem Barrie M. Osborne (Władca Pierścieni: Powrót Króla) oraz Bruce Berman.



„GWIAZDY II RZECZPOSPOLITEJ” Sławomir Koper

PREMIERA: 31.05.2013 r.

Sławomir Koper powraca do czasów Drugiej Rzeczypospolitej. W swojej najnowszej książce przedstawia świat gwiazd teatru, kabaretu, kina i sportu. Jak zwykle opisuje życie prywatne swoich bohaterów, ich miłości, sukcesy i rozczarowania. A wszystko na tle niezwykle barwnej epoki. Niektóre z gwiazd międzywojnia zachowywały się jak współcześni nam celebryci, inne zazdrośnie strzegły swojej prywatności. To była niezwykła plejada: Smosarska, Pogorzelska, Mankiewiczówna, Halama, Barszczewska, Bodo, Zabczyński, Jaracz, Osterwa, Węgrzyn. A do tego polskie medalistki olimpijskie: Konopacka, Walsiewiczówna, oraz finalistka Wimbledonu. Jak zwykle autor nie zapomina o wzajemnym przenikaniu się środowisk; gośćmi scen kabaretowych bywali przecież politycy, a minister Ignacy Matuszewski poślubił Halinę Konopacką. Sukcesy tenisowe Jadwigi Jędrzejewskiej zadecydowały o nakręceniu słynnej Jądz, gdzie w główne role wcielili się Jadwiga Smosarska i Aleksander Zabczyński. Jak zwykle u tego autora atutem książki jest lekka i potoczna narracja. Koper obficie cytuje pamiętniki, listy i relacje prasowe, co dodaje pracy autentyczności. To znakomity opis epoki, która zniknęła wraz z wybuchem drugiej wojny światowej.



„RANDOM ACCESS MEMORIES” Daft Punk

PREMIERA: 21.05.2013 r.

Aż osiem lat trzeba było czekać na zupełnie nowe, studyjne dzieło grupy Daft Punk – francuskiej formacji, która zrewolucjonizowała nie tylko podejście do muzyki elektronicznej, ale rynek muzyczny w ogóle. Ukrywający się pod hełmami robotów Guy-Manuel de Homem-Christo i Thomas Bangalter najpierw stali się sensacją w Europie – ich debiutancki krążek *Homework* (1997) uznany został za arcydzieło muzyki house, a single z tego i kolejnych albumów (*Da Funk*, *Around The World* czy *One More Time*) trafiły na mainstreamowe listy przebojów w kilkunastu krajach. Prawdziwy przełom przyszedł w 2007 r. jednak za sprawą rapera Kanye Westa, który zsamplewał utwór Daft Punk *Harder, Better, Faster, Stronger* na swoim singlu *Stronger* – od tego czasu zespół trafił do światowej czołówki wykonawców muzyki elektronicznej i każde jego dokonanie z niecierpliwością wyczekiwane jest po obu stronach Atlantyku.

Nowa płyta *Random Access Memories* zawiera 13 utworów i pojawi się na niej wielu zaskakujących gości, którzy razem z Daft Punk cofnęli się do korzeni muzyki elektronicznej aby stworzyć ponadczasową mieszankę disco, funk, pop i electro. Wśród „żywych legend” na płycie znaleźli się m.in. uznawany za „ojca chrzestnego muzyki disco” Giorgio Moroder (twórca słynnego brzmienia *I Feel Love* Donny Summer) czy frontman grupy Chic Nile Rodgers (hity *Le Freak*, *I Want Your Love* oraz producent niezliczonej ilości hitów m.in. Madonny, Michaela Jacksona czy Davida Bowie). Nie zabrakło także młodszych przedstawicieli hip-hopu (Pharell Williams), rocka (wokalista The Strokes – Julian Casablancas) czy muzyki eksperymentalnej (Panda Bear). „Jak na ironię, to właśnie androidy przywracają duszę muzyce” – podsumował nowy album Daft Punk producent Todd Edwards, którego też usłyszymy na krążku. Jeżeli słuchając jakiejś płyty można wyrokować, że kiedyś uzna się ją za „dzieło historyczne” – to tak jest właśnie z *Random Access Memories*.



JUWENALIA 2013 KRAKOWSKA AKADEMIA

7 MAJA 2013 16:00

KAMPUS KA GUSTAWA-HERLINGA GRUDZIŃSKIEGO 1



***PRZYSTANEK ZABŁOCIE**

WWW.FACEBOOK.COM/JUWENALIAKA

16:30 DZINDŻER PROJEKT *dżindżer projekt*

17:45 KUMPLE JANOSIKA

19:00 TAZQ



Kumple Janosika

20:00 POZYTYW



21:00 WEEKEND

AFTER PARTY FRANTIC SZEWSKA 5



SPONSOR GŁÓWNY



PARTNER MEDYCZNY



PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI

dlaStudenta.pl

ORGANIZATOR



SAMORZĄD STUDENTÓW
Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

